

CO MOJE OCZY WIDZIAŁY W MEKSYKU

13-20 LUTEGO 2007

We wtorek, dnia 13. lutego, zostałem podwieziony przez brata Romana na lotnisko w Toronto i w zaplanowanym czasie usiadłem w samolocie, który w ciągu 5 godzin przewiózł moją powłokę cielesną do Mexico City. Formalności graniczne nie trwały długo i wkrótce znalazłem się w czterogwiazdkowym hotelu w centrum miasta. Mimo wcześniejszego przybycia pokój na jedenastym piętrze był przygotowany, więc zostawiwszy torbę (tym razem ważyła 12,5 kg) wyszedłem na miasto na pierwszy spacer. Jednokierunkowa ulica była bardzo ruchliwa, chodniki niezbyt szerokie i jeszcze zwężone przez stoiska handlujących. Wstąpiłem do dwóch kościołów, zanim doszedłem do dużego placu przed monumentalną katedrą. Pierwszym doznany wrazeniem była cisza wewnątrz świątyni. Turyści zachowywali się spokojnie, ale jeszcze liczniejsi od zwiedzających byli ludzie modlący się w skupieniu. I taki obraz spotykałem we wszystkich kościołach, które odwiedziłem. Nawet przewodnicy mówili szeptem, udzielając wyjaśnień szczegółowych jeszcze przed wejściem do domu Bożego. To mi się bardzo podobało.

Tuż za Katedrą jest muzeum związane z Wielką Świątynią Azteków, zamienioną na muzeum. Z pomostu oglądałem ruiny i myślałem o mieszkańcach składających przed setkami lat ofiary na szczytach małych piramid.

Wracając do hotelu uwagę skierowałem na symboliczny cmentarz przy Ośrodku Kultury Hiszpańskiej. Dlaczego z wystawy wychodzi aż na chodnik zielony nasyp z krzyżami? Kogo ma upamiętniać: tych, którzy polegli w obronie własnej ziemi, czy zdobywców, którzy ostatecznie zostali pokonani? Wstąpiłem jeszcze do muzeum ekonomii. Tu przewodnikami - stróżami - byli meksykańscy studenci, z którymi próbowałem rozmawiać. Po czym poznali, że jestem księdzem, tego nie zgadnę. Przecież ze względu na klimat założyłem jasną koszulę i żadnego znaku kapłańskiego nie miałem. No, może jeden, który w gwarze niemieckiej nazywa się „Oremus-gesicht”. Ta dziesiątka studentek i studentów już pierwszego dnia pobytu przekonała mnie, że potrafią patrzeć na ludzi sercem. Okazali mi dużo zrozumienia i życzliwości, chociaż z powodu bariery językowej niewiele mogliśmy sobie powiedzieć. Oni znali angielski i hiszpański, ja zaś polski i francuski, do innych już się nie przyznałem. Ekspozyty mało mnie zainteresowały. Były nawet materiały służące do wyrobu pieniędzy. Za to na murach wewnętrznego starego gmachu odczytałem modlitwę „Zdrowaś, Maryjo”.

W środę udałem się do Matki Bożej w Guadalupe. Nie mogłem trafić na ulicę prowadzącą od metra do Sanktuarium, poprosiłem o podwiezienie taksówką. Zapłaciłem mniej, niż płacę za przejazd tramwajem w Kanadzie. Wszedłem do nowej Bazyliki, w której pomieści się 12 tysięcy ludzi. Była poranna modlitwa brewiarzowa, - Jutrznia - w języku łacińskim. Przy ołtarzu kilku księży i kilkunastu ministrantów w strojach podobnych do tych, które mamy w kościele św. Kazimierza w Toronto. Nie przypuszczam, aby były sprowadzane z Poznania, jak nasze. Potem Msza Święta koncelebrowana w języku hiszpańskim. Na piętrze wzdłuż przedniej ściany świątyni jest 14 kaplic, z każdej widoczny główny ołtarz, w którym jest zawieszony cudowny obraz Matki Bożej. Dziwnym dla mnie był widok dwóch innych obrazów Matki Bożej z Guadalupe wiszących obok tego ołtarza. Przed głównym wejściem był jeszcze jeden obraz - dywan leżący na posadzce. Na całym placu i w korytarzach widziałem śpiących pielgrzymów owiniętych w kocy. Tylko dróżki były wolne i ci ludzie nie przeszkadzali przechodzącym. A trzeba było dojść do kilku innych kościołów (Stara Bazylika, Kościół Parafialny i przynajmniej trzy inne kościoły blisko stojące). Nieco wyżej, za kościołami, jest piękny park z figurą Matki Bożej odbierającej hołd od wszystkich stanów. Będąc przy kościele na wzgórzu ujrzałem przynajmniej setkę różnokolorowych balonów unoszących się wysoko w powietrze. To uczestnicy jednej z pielgrzymek zmanifestowali swoją obecność i pragnienie, aby i ich modlitwy poszybowały aż przed tron Ojca Niebieskiego.

Nie można pominąć historii Objawienia. Młody Indianin, od niedawna ochrzczony, ale w pełni jeszcze nie nawrócony, szedł do czarownika po pomoc dla chorego, gdy zastąpiła mu drogę nieznana mu Niewiasta mówiąc, że Ona zaopiekuje się chorym, a jego wysłała do księdza biskupa, aby poprosił o wybudowanie kapliczki ku Jej czci. Biskup zażądał dowodu i wyjaśnienia, kim była ta nieznajoma Pani. Podczas trzeciego spotkania, w dniu 12 grudnia 1531 roku, Niewiasta wysłała Juana na szczyt wzgórza po kwiaty czerwonej róży. Niewiele było krzaków tych kwiatów przywiezionych z Europy i starannie pielęgnowanych, a więc tym mniej było prawdopodobne znalezienie ich na szczycie skalistego wzgórza w grudniu. Juan jednak poszedł, ujrzał, nazbierał kwiatów i zaniósł do biskupa w swojej chuście, w jakiej można spotkać jeszcze dzisiaj Meksykańczyków.

Kiedy Indianin wysypał kwiaty przed biskupem, ten był bardziej zainteresowany jego szatą, bowiem ujrzał oblicze Niewiasty. Nie tylko sposób powstania obrazu, ale i fakt, że przetrwał 475 lat, jest cudem. Badania wykazały, że farba nie została nałożona pędzlem. Meksykańczycy, jak i inni mieszkańcy Środkowej i Północnej Ameryki, mają zwyczaj dotykania świętych przedmiotów rękami, a także przedmiotami jako formy ich poświęcenia. Początkowo obraz wisiał na ścianie bez zabezpieczenia przed takimi aktami pobożności. Szata zrobiona z włókiem agawy służy za okrycie im najwyżej przez pięć do siedmiu lat. Przed trzystu laty zrobiono kopię tego obrazu, przetrwała 30 lat. Przy dużym (2500 razy) powiększeniu oka Maryi na obrazie można dostrzec postacie, przede wszystkim świętego Juana Dias. To też zjawisko cudowne.

W południe powróciłem już metrem do centrum i przeszedłem kilkoma ulicami historycznego centrum miasta Meksyku. Szybka winda wwozła mnie na 42-e piętro budynku z iglicą. Fotografowałem miasto aż po góry na horyzoncie.

A że tego dnia był czczony święty Walenty, na ulicach rozdawano reklamy walentynkowych balów. Jeden z nich był w hotelu, pięć pięter pod moim pokojem. Ucieszyła mnie wiadomość, że Episkopat Stanów Zjednoczonych postanowił ogłosić ten dzień świętem czystości. Przecież prawdziwa ludzka miłość też może być piękna, może i radosna. A na ulicy widziałem młodych zakochanych. Trudno było się nie uśmiechać widząc, że młody zakochany kilkakrotnie próbował ucałować swoją umiłowaną i zawsze jego usta trafiały na maskę zakrywającą nos i usta – niektóre osoby w ten sposób bronią się przed kurzem, nie tylko w Meksyku. Wtedy przypomniła mi się definicja pocałunku wypowiedziana przez dwunastolatka: jest to styk dwóch spluwaczek.

Wstąpiłem do opery. Wykupiłem bilet na spektakl meksykańskiego folkloru. Późnym popołudniem powróciłem do hotelu i na kłamce wywiesiłem prośbę, aby mi nie przeszkadzano. Chciałem odpocząć przed pójściem do teatru. Kiedy po godzinie wychodziłem z pokoju, znalazłem przy drzwiach kartkę z prośbą, abym jak najszybciej powiadomił obsługę, kiedy mogą dokonać wieczornego przygotowania mojego pokoju do nocnego odpoczynku. Oczywiście, sam to zrobiłem. Nietrudno mi było zasunąć zasłony i włączyć telewizor. Każdego dnia po powrocie do pokoju znajdowałem zapaloną lampkę nocną, telewizor pokazywał reklamy hotelowe, a na poduszce był cukierek z życzeniem „słodkich snów”. Nie korzystałem z tej pomocy. Przez okno też nie wyglądałem. Przede wszystkim w ciągu dnia byłem poza pokojem, a obok hotelu, z drugiej strony wąskiej ulicy, stał dwunastopiętrowy biurowiec. Widok nieciekawym. Przy kasie porozumiewałem się na piśmie. Ja napisałem dzień i godzinę, kasjerka napisała trzy ceny biletu. Wybrałem najtańszy. Otrzymałem bilet na fotel znajdujący się najwyżej, na drugim balkonie, a więc wszystkich miałem „pod sobą”. Przez prawie dwie godziny oglądałem pełne temperamentu i ognia tańce przy znanych mi melodiach. Przed siedmiu laty w Sewilli oglądając tańce flamenco zastanawiałem się, jak często teatr musi zmieniać deski na scenie, skoro tancerze tak głośno i silnie przytupują. W Meksyku podejrzewałem, że tancerze mają wzmacniacze w obcasach. Nawet niewielki drewniany na kółkach konik, na którym wjechał zalotnik, trząsał kopytami niesamowicie głośno.

Czwartek poświęciłem na zwiedzanie muzeum antropologicznego. Dwadzieścia trzy sale, wiele monitorów pozwalających poznać życie dawnych i obecnych mieszkańców Meksyku. W jednej z gablot wystawiono symbole odkrywców i zdobywców Nowego Świata. Była zbroja i miecz, a obok sutanna i krzyż. Przypomniały mi się słowa ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego: „Nie walczymy mieczem, bo miecz może się wyszczerbić”. Po latach Hiszpanie musieli odejść. Wiara trwa.

Po szybkim zwiedzeniu tego muzeum (6 godzin) przeszedłem przez ogród botaniczny do dawnej rezydencji władców. Żyli w rozkoszach. Zwiedzających niewiele. Pałac położony na wzgórzu pozwalał odpocząć wzrokowi padającemu na zieleń parków i ogrodów. Przy wyjściu do ogrodu była płaskorzeźba poświęcona odzyskaniu wolności. Pięknie ułożone słowa były pełne radości. Straszna rzeczą jest niewola. Ale na płaskorzeźbie wolność była przedstawiona osobowo, jako niewiasta trzymająca sztandar. I byłoby wszystko dobrze, gdyby tej pani z płaskorzeźby nie odleciała głowa. Wolność bez rozsądku przeradza się w swawolę, a to przynosi już nieszczęście, bo taki człowiek wpada w inną niewolę, niewolę zadawania i doznawania cierpienia. Przecież wiadomo, że „gdy Pan Bóg chce kogoś skarać, to odbiera mu rozum”. Potem już nie musi nic robić. Człowiek sam siebie karać będzie.

Schodząc z góry wszedłem jeszcze do galerii historii miasta. Wiele monitorów, objaśnienia po hiszpańsku, ale warto było wejść. Przedstawiono też sceny z torturami rewolucjonistów, czyli cierpienia ludzi nieposłusznych satrapom. Muzeum było na tyle ciekawe, że podłoga okrągłego budynku wciąż opadała i wyjście było 2 piętra poniżej wejścia, a schodów nie było wcale.

Piątek przeznaczyłem na daleką wyprawę do Srebrnego Miasta Taxco. Tam powstały pierwsze kopalnie srebra. Przed wejściem do autobusu każdy był rewidowany, czy przypadkiem nie ma w nogawicy karabinu maszynowego lub w torbie granatu. Podróż trwała prawie trzy godziny (180 km). Po drodze widziałem kilka kontroli samochodów, liczni policjanci i żołnierze z karabinami. Autobusy przejeżdżały bez kontroli. Miasteczko piękne, zbudowane na licznych pagórkach. Nad miastem wielki posąg Chrystusa Króla. W Bazylice pięć ołtarzy bardzo wysokich, wszystkie złożone. Pomimo licznie przybywających do świątyni modlących się i zwiedzających, jest czysto. Jak w Meksyku, tak i tutaj figury ubrane w szaty. Święty Marcin z Porres, Peruwianczyk, w tym mieście ma swoje dwa ołtarze. Ten „advokat myszy” trzyma swój atrybut: miotłę. Wstąpiłem też do nowobudowanego kościoła, jeszcze nie wykończonego. Tu trzypiętrowy wyłącany ołtarz z obrazami świętych zajmie także całą ścianę w prezbiterium. Można to poznać po rozpoczętej pracy. W starym kościele przy główniejszym placu w południe odmawiano Różaniec. Było ze trzydzieści osób. Modlili się starsi i młodszy (12-15 lat). Patrzyłem na twarze wychodzących. Radość na twarzy przekonała mnie, że czynią to chętnie, bez przymusu. Wiara w takim narodzie nie zginie. Przy innym z kościołów zauważyłem młodzież, która po lekcjach wstępowała na krótką adorację, a przed kościołem umawiali się na popołudniowe spotkania w grupach parafialnych. Widziałem radość na ich twarzach.

Nie widziałem natomiast radości w twarzy pasażera siedzącego obok mnie w autobusie. Był to typowy z meksykańskich wieśniaków, jakich znalazłem ze zdjęć. Podczas jazdy ja robiłem zdjęcia przez szybę, on zaś spał. Wydawało mi się, że budzi się tylko przy kapliczce stojącej obok drogi, bo przed każdą zdjął czapkę. Po prostu wyznawał swoją wiarę.

W sobotę pojechałem 60 km poza miasto, aby obejrzeć piramidy. Na wielkim terenie są same ruiny. Pozostały ruiny z ich budowli i dwie piramidy: ogromna piramida słońca i druga, mniejsza, na której był ołtarz do składania ofiar dla Księżyca. Na ołtarzu dla boga Słońca składano bijące ludzkie serca. Hiszpańscy zdobywcy łatwo odnosili zwycięstwa, ponieważ Aztekowie prowadzili wojny między sobą dla zdobycia jeńców, składanych potem na ofiarę. Nieliczni tracili życie i to raczej przez przypadek, zbieg okoliczności. Zabijanie w ich wojnach nie było przewidziane.

W muzeum szedłem po szklanej podłodze, przyglądając się makiecie tego dwustutysięcznego miasta. Trzeba było zaufać, że szyba nie pęknie pode mną. Wszedłem jedynie po kamiennych stromych i wysokich stopniach na taras przed świątynią węża. Doświadczenie z Madagaskaru ułatwiło mi wspinaczkę i znacznie trudniejsze zejście, ale nie tylko ja pomagałem sobie ręką. Poręczy nie było. Przewodnik podaje, że w kwadracie 400x400 metrów przebywało sto tysięcy ludzi. Trudno to sobie wyobrazić. Byli to pewnie wojownicy, skoro ten plac otoczony kamiennym murem mógł być zamieszkały przez taką liczbę ludzi. Nazwa miejsca „Cytadela” wskazuje, że był to teren wojskowy.

Na całym terenie bardzo dokuczliwi są handlarze ofiarujący piękne pamiątki w nachalny sposób. Trzeba jednak przyznać, że ich wyroby są tanie (po 1-2 dolary) i piękne. Ja nie dałem się skusić na kupno. Obiad zjadłem w tamtejszej restauracji, chociaż potrawy były współczesne, na szczęście.

Powróciwszy do miasta udałem się do galerii sztuk pięknych. Tutaj zostałem oszukany na pół dolara. Przy kasie był cennik. Wykupiłem bilet wstępu (\$3) wraz z dopłatą za prawo robienia zdjęć. Niestety, dopiero na bilecie przeczytałem, że mam prawo fotografować bez lampy błyskowej. Ja takiego aparatu ze sobą nie miałem. Widziałem jednak zwiedzających z komórkami telefonicznymi, które były używane do robienia zdjęć. W tym muzeum do kazań będę mógł wykorzystać dwa eksponaty. Pewien artysta namalował dwa prawie identyczne obrazy modlącej się na klęczkach księżniczki. Na pierwszym twarz księżniczki była bardzo radosna, jasna, a kwiat lilii prosty pnący się do góry. Na drugim obrazie tej tak samo ubranej księżniczki twarz była smutniejsza, nieco szara, a kwiat lilii złamany.

Na ulicach miasta niemniej dokuczliwi dla mnie byli rzemieślnicy świadczący usługi czyszczenia butów. Niejeden za mną krzychał, że już „najwyższy czas” dać sobie wyczyścić obuwie. A mieli rację, ponieważ chodziłem wciąż w butach zakurzonych. Czyścibutów dzieliłem na dwie klasy. Usługi luksusowe świadczyli posiadacze dużego stanowiska na kółkach. Wysoko siedział obsługiwany, na stołeczku niżej czyścibut znający dobrze swój fach. Wkładane w obuwie kartoniki zabezpieczały skarpetki przed zabrudzeniem pastą. Po pracy czyścibuta buty błyszcząły, chociaż wkrótce blask został przytłumiony przez kurz. Usługi zwykle prowadzili rzemieślnicy noszący swój mały warsztat i wychwytyjący przechodniów z brudnymi butami. W tym wypadku obsługiwany stał, stawiając nogę na odpowiednim podwyższeniu. Każdy z czyścibutów miał zestaw kilkunastu past najróżniejszych kolorów. Nawet nie wiedziałem, że pasty są produkowane w tylu kolorach. Szkoda, że zapomniałem takiego czyścibuta sfotografować. Sfotografowałem zaś sprzedawcę baloników.

Nadeszła niedziela. Nie wszystko zrozumiałem z kazania meksykańskiego księdza w języku hiszpańskim. Jedną myśl zrozumiałem doskonale. Gdy ksiądz zapowiadał rozpoczęcie Wielkiego Postu, poinformował, że posypanie głów popiołem nie jest Sakramentem i nie gładzi grzechów. Tak samo było z Chrztmem udzielanym przez świętego Jana Chrzciciela: nie gładził grzechów, tylko przygotowywał ludzi do przyjęcia Chrztu w imię Jezusa Chrystusa.

Przed południem pojechałem na przedmieście, aby zobaczyć życie w wiosce. Trafiłem na jakiś festyn. Plac kościelny ustrójony kolorowo, a ze straganów dochodziły ostre zapachy. Właśnie kończyła się Msza Święta, kiedy odchodziłem. Zrobiłem jednak zdjęcie terenu przykościelnego i świętego Sebastiana namalowanego na ścianie nad toaletami. To też ludziom potrzebne.

Po południu udałem się do muzeum techniki i muzeum przyrody. Nie pierwszy raz mnie to się zdarzyło, że chciałem zobaczyć stojący obok samolotów budynek bez okien, ale policjant mi powiedział, że „tej części terenu nie zwiedza się”. W muzeum przyrody zobaczyłem urządzenie oszczędzające prąd. Światło zapala się tylko wtedy, gdy ktoś zbliża się do eksponatu. Czasami trzeba zamachać ręką nad głową, aby znikła ciemność. Wracając do stacji metra przechodziłem obok muzeum dla dzieci. Zachęciła mnie reklama, że w kinie *Imax* można zobaczyć starożytną Grecję, a jest jeszcze planetarium i muzeum dla dzieci. Całość kosztowała dużo, \$13, ale nic ciekawszego do oglądania w moim przewodniku nie znalazłem, więc poszedłem. Do kina stanąłem pierwszy w kolejce. Za mną stanęły dzieci, przeważnie w wieku 4-10 lat. Półgodzinny seans był dla mnie interesujący. Meksykańskie dzieci muszą być geniuszami, skoro nawet przedszkolaki potrafią to zrozumieć. Potem przeszedłem do planetarium na program o katastrofach kosmicznych. Pokazano trasy przelotu komet, planet, mgławic i oczywiście – skutki zderzenia się takich układów i poszczególnych ciał niebieskich. Dzieci patrzyły w ciszy i skupieniu. W części muzealnej można było pobawić się, aby poznać działanie różnych sił i źródeł energii, pohuścić się na dziwnym sprzęcie rozrywkowym. Mnie zaciekała mała fontanna na środku basenu. Kiedy na brzegu dwójka dzieci stojąc na specjalnym podkładzie podało sobie ręce, fontanna rzucała wodę wysoko.

Po szybkim marszu wśród rajskich rozkoszy dla dzieci udałem się na najbliższą stację metra, aby pojechać jeszcze raz do Matki Bożej z Guadelupe. Tym razem znałem już drogę i przeszedłem na pieszo od metra do Sanktuarium. Atmosfera była zupełnie inna. Plac przed Bazyliką był niemal bezludny. Chociaż wiele osób w skupieniu modliło się w Sanktuarium. Ja też tam wszedłem, a potem poszedłem do sklepu, aby kupić kilka pamiątek. Już wszystkie rozdałem, a dla moich Korespondentów mam tylko ten list. Jeszcze przed Wielkanocą wyślę drugą przesyłkę, będą zdjęcia na dysku CD.

Przedostatni dzień mojego pobytu w Meksyku był pechowy. Rano zostałem wyciągnięty z metra, ponieważ ostatni albo pierwszy wagon jest przeznaczony dla dzieci do lat 12 i dla uprzywilejowanych pasażerów, o ile dobrze zrozumiałem napisy, dla funkcjonariuszy w urzędach. Po prostu wchodziło na peron zobaczyłem drzwi otwarte i wszedłem. Okazało się, że na peronie byli stróże porządku, którzy zareagowali bardzo szybko. To dobrze o nich świadczy. W południe w drodze do Sanktuarium poczułem coś płynącego w nosie i miałem zamiar wysiąść, odpocząć i powrócić do hotelu. Na szczęście, krew szybko skrzepla i do Sanktuarium dojechałem. Po powrocie do hotelu zauważyłem, że brakuje mi meksykańskich pieniędzy na przejazd na lotnisko. Wziąłem więc trzy niewielkie banknoty kanadyjskie i zjechałem windą do hotelowego kantora wymiany. Byłem dwie minuty po czwartej. Drzwi były już zamknięte, a pracownicy wymieniali pieniądze tylko tym klientom, którzy do czwartej przeszli przez drzwi. Pozostało mi wyjść na ulicę i poszukać miejsca wymiany pieniędzy. Dzięki temu zobaczyłem jeszcze jedną ulicę z licznymi pomnikami. Potem wykorzystałem ostatni bilet przejazdu metrem.

Pojechałem do restauracji na kolację. Tu znów dokonałem pechowego zamówienia. Podano mi menu w języku hiszpańskim. Pięknie wyglądał talerz z ładnie zarumienionym kotletem przy jarzynach. Przyniesiono mi krewetki ułożone w kształcie kotleta. Były smaczne i dlatego nie żałowałem pomyłki.

Ostatniego dnia, we wtorek rano, poszedłem do restauracji na dobre śniadanie i jadłem w towarzystwie trzech policjantów, stojących przy wejściu, jeden z nich miał naładowany karabin, dwaj inni tylko pistolety, a wszyscy w kamizelkach kuloodpornych. Szybko zrozumiałem, że była to ochrona przewożonych pieniędzy do banku. Straszono mnie, że w Meksyku kradną, że zdarzają się zabójstwa (turyście z Toronto zastrzelono w kawiarni hotelowej). Ja tego nie zauważyłem. Przeciwnie, uważam, że na Madagaskarze było dużo bardziej niebezpiecznie, zwłaszcza ilość złodziei łatwo wpadających w oko. Ani razu nie zauważyłem podejrzanego obok mnie. Policjantów było widać wszędzie, a w metrze przekonałem się, że szybko reagują.

Dwa zdarzenia w metrze zasługują na pamięć. Mało jest tabliczek nad miejscem zastrzeżonym dla osób, którym należy ustąpić miejsce. Pewnego razu, gdy wszedłem do wagonu, pewien młody człowiek, lat około pięćdziesięciu, wstał i gestem poprosił mnie o zajęcie miejsca. W takim wypadku nie można odmówić. Usiadłem, skłaniając głowę w podziękowanie, a wtedy piętnastolatek, siedzący obok, wstał i poprosił tego pana, aby zajął jego miejsce. Jakże to było piękne! Nieco później, do tego samego wagonu weszła mama z synkiem na oko mającym 8-10 lat. Szybko zadbała o to, aby synek usiadł, a dla niej znalazło się miejsce od następnego przystanku. Była szczęśliwa. Zadbała, aby dziecko się nie męczyło. Czy wychowany w takiej szkole synek będzie szanował swoją matkę, kiedy będzie starsza słaba słaba? Wątpię.

W kupionym przewodniku po stolicy Meksyku autor zastraszył mnie, że obsługa na lotnisku jest powolna i nie da się uprosić o przyspieszenie kontroli, gdy zbliża się czas odlotu samolotu. Można więc nie zdążyć załatwić formalności przed godziną odlotu. I co wtedy? Na lotnisku było zupełnie inaczej. Nie było kolejki przy stanowisku załatwiających pasażerów do mojego samolotu. Nie musiałem otwierać walizki przy nadawaniu bagażu. Mogłem zamknąć kłódkę, jeśli chciałem (W USA używanie kłódek i zamków jest niedozwolone, w Kanadzie raz kłódkę mi odcięto). Miałem dużo czasu i zdążyłem wydać wszystkie pieniądze kupując kanapkę i kawę. Po posiłku udałem się na zwiedzanie dużego dworca lotniczego. Znalazłem jeszcze kawiarenkę, gdzie sprzedawali włoskie espresso, a że taką kawę lubię, kupiłem. Nie starczyło mi już na podwójne, zadowolilem się pojedynczym, czyli bardzo małą porcją bardzo silnej kawy.

Niespodziewaną radość przeżyłem jeszcze w samolocie. Lot trwał ponad 4 godziny. Po godzinie od startu podano nam posiłek. Kiedy wszystkie tace i nieużyteczne już opróżnione opakowania zostały zebrane, zabrałem się do rozwiązywania polskich krzyżówek, do rozwiązania mam jeszcze dwie setki. Tak robię podczas każdej podróży. I wtedy pani stewardesa przyniosła mi mocną kawę w kubku z napisem „drugi kubek”. Byłem jedynym z dwóch setek pasażerów samolotu, który otrzymał bez prośbienia taki prezent. Dlaczego? Nie umiem odpowiedzieć. To trudniejsze, niż krzyżówki do rozwiązania.

Szybko przeszedłem przez kontrole paszportową i celną, zatelefonowałem do naszego domu i po 15 minutach brat Roman zatrzymał się samochodem w umówionym miejscu. Nieco później znalazłem się w swoim mieszkaniu. Był wtorek, dzień 20. lutego..

Wnioski? Postanowiłem i pewnie dotrzymam postanowienia, że więcej do tropiku jeździć nie będę. Za trudno na moje lata. Na drugi dzień wieczorem poczułem ból na czole. Spojrzałem w lustro. Po prostu słońce spaliło mi skórę. Dziwne. Na Madagaskarze chodziłem w temperaturze 35°C i wyższej bez takich problemów, tutaj temperatura 26°C spowodowała poważne problemy. Ale Meksyk leży na wysokości ponad 2 200 metrów nad poziomem morza. Na drugi dzień kupiłem odpowiednią maść i do końca pobytu jakoś przeżyłem, chociaż na głowie miejsca sparzone od słońca bolały i nie chciały się zagoić. O noszeniu czapki nie pomyślałem. Poza tym od czwartego dnia widziałem coś czerwonego płynącego z nosa, zwłaszcza rano. Dopiero po tygodniu pobytu w Toronto ten problem sam się rozwiązał.

Pomimo tych skutków jestem zadowolony. Spełniło się jedno z moich marzeń. Byłem u Matki Bożej w Guadelupe.